

Marek A. Cichocki: Bitwa pomników

Wydawało się, że przemoc faktyczności stała się w XIX wieku nie do pokonania i że będzie swoją żelazną ręką panować na zawsze. A jednak – w polskim wypadku – okazało się, że bitwę pomników ostatecznie wygrał nasz polski „puer aeternus”, wiecznie młody bóg wojny oraz Matka Boża z węzłem u stóp – pisze Marek A. Cichocki w książce „Początek końca historii. Tradycje polityczne w XIX wieku”.

Pamięć zbiorowa to dziwne zjawisko, trudno je jednoznacznie opisać. Nie jest logiczna w dosłownym sensie, często składa się z ewidentnych dla zdrowego rozsądku sprzeczności, wykluczających się pozornie elementów, ale zawsze tworzy ciągłość i całość jako nieustającą grę, która toczy się między zapamiętanym i zapominanym. Przypomina kapryśną rzekę, która czasami płynie szerokim korytem, by za chwilę schować się całkiem do podziemnych kanałów. Pozostaje zawsze tajemnicą, którą socjologowie i antropologowie kultury na próżno będą się starali wyjaśnić w naukowy sposób. Najbardziej przychodzi na myśl jedną z mitologicznych rzek Hadesu, podziemnego królestwa dusz, Lete[1]. Według opisów Dantego w *Boskiej Komедии* spływa ona do środka Ziemi, a dusze zmierzające do raju piją jej wodę, aby zapomnieć o popełnionych grzechach. Wcześniej Platon w *Fajdroście* także posłużył się rzeką Lete, by wyjaśnić teorię wędrówki dusz, metempsychozę, zgodnie z którą po wypiciu wody z rzeki dusze zapominają wszystko, co widziały po śmierci. Wracają jednak w nowej cielesnej postaci, dzięki czemu to, co zostało zapomniane, może być ponownie odkryte jako *anamnesis*, przywrócone w życiu z naszej głębokiej, ukrytej pamięci.

Ta zaczerpnięta od starożytnych koncepcja zbiorowej pamięci, jako pamięci aksjologicznej[2], duchowej pamięci wspólnoty, na którą składają się idee, symbole, kluczowe miejsca i bohaterские postaci, staje się dla Polaków niezwykle żywa pod zaborami, by w końcu przekształcić się w coś w rodzaju strategii utrzymania tożsamości

narodowej w sytuacji upadku I Rzeczypospolitej. By zrozumieć skalę doświadczonej wówczas materialnej katastrofy, możemy sięgnąć po dwa przykłady.

*Na środku dziedzińca wznosiła się dziwnego kształtu góra
usypana z kawałków najrozmaitszych sprzętów, których zabrać
nie mogąc, Moskale potłukli, a moi ludzie na kupę zgarnęli.
Głowy, ręce, nogi marmurowych posągów, kawałki porcelany,
kryształów, obrazów, mozaik, zwierciadeł, mebli mahoniowych i
hebanowych, rozbite klawicymbały, poszarpane książki,
porżnięte w pasy malowidła – wszystko to razem leżało w
gruzach[3]*

– w taki sposób Izabela Czartoryska opisywała zniszczenia dokonane celowo, w akcie zemsty przez wojska carskie w słynnej rezydencji w Puławach podczas tłumienia insurekcji kościuszkowskiej. Warto ten cytat zapamiętać, gdyż jest on obrazem topicznym dla całej polskiej kultury na następne dwa stulecia, w czasie których Polska w wyniku wydarzeń historycznych staje się polem wciąż powracających fal świadomej dewastacji.

Podobne akty destrukcji miały wkrótce miejsce w Warszawie, która znalazła się pod pruską okupacją. W *Pamiętnikach* Kajetana Koźmiana znajdziemy znaczący ustęp o Janie Woroniczu, poecie, duchownym, polityku związanym z Czartoryskimi, któremu zarzucano zbyt nieprzejednany stosunek do Prus:

*młody jesteś – odpowiedział z żywością – nie widziałeś tego, co
ja, jak z tych okien (i wskazał na zamek królewski), Niemiec w
kubraku, pogwizdując, wyrzucał na śmiecie sprzęty z sali obrad
narodowych[4].*

Jeśli do tych obrazów dodamy choćby zrabowanie skarbcza koronnego na Wawelu przez wojska pruskie i w efekcie zniszczenie polskich insygniów królewskich czy zrabowanie w 1794 roku przez wojska carskie Biblioteki Załuskich w Warszawie – jednej z największych ówczesnych bibliotek europejskich czy wreszcie straszliwe okoliczności dokonanej przez

Suworowa na warszawskiej Pradze rzezi cywilnej ludności, możemy tylko wyobrazić sobie skalę katastrofy, jaka rozpoczęła się na ziemiach polskich po upadku insurekcji kościuszkowskiej. Pozwala to także zrozumieć motywy podjętego w pierwszym dziesięcioleciu zaborów programu ratowania narodowych pamiątek, który stał się wtedy jednym ze sztandarowych projektów powstałego wówczas Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Warszawie.

Strategia opierała się na klasycznym, zsakralizowanym ujęciu narodowego czasu, przeszłości oraz pamięci, odwołującym się do starożytnej sztuki zapamiętywani

Podjęty na początku XIX wieku przez Izabelę Czartoryską, matkę księcia Adama, wyjątkowy zupełnie zamysł zbudowania sanktuarium narodowej pamięci w Puławach, stał się

najważniejszym w naszej historii przykładem – może jeszcze obok Rapperswilu – dokładnie przemyślanej i zakrojonej na dużą skalę politycznej strategii mnemotycznej – budowania narodowej, wspólnotowej pamięci w czasach katastrofy. Projekt ten zaowocował zbiorami Muzeum Czartoryskich w Krakowie, ale co ważniejsze, wpłynął w istotny sposób na polskie rozumienie historycznej pamięci, jako osnowy dla tożsamości politycznej Polaków, pozbawionych własnego państwa i technik podtrzymywania ciągłości. Strategia opierała się na klasycznym, zsakralizowanym ujęciu narodowego czasu, przeszłości oraz pamięci, odwołującym się do starożytnej sztuki zapamiętywania – *art of memory*, jak określiła ją Frances Yates[5]. Podobnie jak w wypadku klęski całej Rzeczypospolitej i konkretnej historii zniszczenia rezydencji w Puławach, również dla starożytnej koncepcji sztuki pamiętania punktem wyjścia jest realna katastrofa, rozpad istniejącej wcześniej materialnej, ludzkiej rzeczywistości. Chodzi konkretnie o historię Symonidesa z Keos, poety, który cudem uniknął śmierci w wyniku zawalenia się sali biesiadnej, gdzie odbywała się uczta wydana przez Skopasa, tesalskiego arystokraty i mecenasa Symonidesa. Ciała ofiar były tak zmasakrowane, że nie sposób było ich rozpoznać. Wtedy to właśnie Symonides, posługując się techniką wyobrażenia i pamięci nieistniejącego już miejsca i zdarzenia, ustalił dokładnie położenie ciał poszczególnych ofiar. Odwołując się do tej

historii, Cyceron przedstawi w swojej pracy *O mówcy (De Oratore)*[6] podstawowe zasady sztuki pamięci opartej na wyobrażeniu miejsc, wydarzeń, odczuć, nazywanej także czasami podróżą pamięci czy pałacem pamięci. W X księdze Wyznań św. Augustyn, nawiązując do tej właśnie cycerońskiej koncepcji pamięci napisze: „oto dochodzę do rozległych pól, do przestronnego pałacu mojej pamięci, gdzie się przechowują niezliczone obrazy”[7]. Trzeba w tym miejscu dodać jeszcze jedną istotną uwagę. Była to mianowicie całkiem inna wizja przeszłości i historii niż heglowska wizja historii jako drogi i jako siły – vis, niedającego się odwrócić przejścia, wizja tak chętnie wykorzystywana przez nowoczesnych ideologów w XIX i XX wieku dla uzasadnienia swych doczesnych utopii.

Nawiązując do tej klasycznej idei sztuki pamięci, Izabela Czartoryska zrealizowała w Puławach najpierw projekt narodowej arki przymierza między starymi i nowymi czasami, a później architektoniczno-mnemotyczną koncepcję Świątyni Sybilli: przeszłości dla przyszłości. Arka, czy też Szkatuła Królewska, przymierze narodu ze swoją wielką historią, dzieło warszawskiego jubilera, zawierała pamiątki, „relikwie” po polskich monarchach oraz członkach ich rodzin, w zamyśle Izabeli zbieranych jako substytut zaginionych po pruskiej grabieży królewskich regaliów. Szkatuła spoczęła w centralnym miejscu, na granitowym postumencie, w wykończonej w 1806 roku Świątyni Sybilli, do której prowadziło wejście z napisem *Przeszłość przyszłości*. To sanktuarium narodowej przeszłości, jako miejsce sakralne, w formie antycznej świątyni gromadziło na wyższej kondygnacji historyczne zbiory Czartoryskiej, miecze i szable polskich władców, chorągwie, sztandary, tarcze, laski marszałkowskie, buławy, pastorały. Drzwi do świątyni otwierał klucz w kształcie kaduceusza Hermesa – boga, który odprowadzał dusze do Hadesu i pośredniczył między światem życia i śmierci. W dolnej części świątyni, krypcie ukrytej w skarpie wiślanej, księżna Czartoryska urządziła rodzaj mauzoleum, upamiętniającego poległego pod Lipskiem księcia Józefa Poniatowskiego, z poświęconym mu obeliskiem i zawieszoną nad nim szablą bohatera[8]. Całe to założenie narodowej pamięci w czasach katastrofy czyniło z Puław centralne miejsce polskości. Świątynia Sybilli stawała się sakralnym omfalos, gdzie uświęcony czas, *kairos*, łączył przeszłość z przyszłością, unieważniając historyczną chronologię czasów teraźniejszych, *chronos*[9]. Izabela Czartoryska pełniła w tym niezwykłym miejscu funkcję strażniczki, arcykapłanki, westalki, która dzięki kluczom

nawiązującym do władzy Hermesa, pośrednika między światem umarłych i żywych, otwierała świątynię narodowej pamięci, gdzie za pomocą sztuki pamięci i podróży przez pamięć można było obudzić i przywrócić do życia duchy minionych czasów, przeprowadzając je niejako na drugą stronę rzeki, na stronę ludzi żyjących, na stronę przyszłości.

*Dzięki takiej sztuce pamięci
zbiorowa tożsamość potrafiła
łączyć przeszłość z
przyszłością, unieważniając
nawet najstraszliwsze skutki
teraźniejszej katastrofy*

Wody mitycznej
Lete, wywołujące
niepamięć, były dla
Platona podstawą dla
jego *anamnesis*,
zdolności
wydobycia z
głębokich pokładów
pamięci

aksjologicznej ukrytych w niej idei, symboli, ale też kluczowych dla świata mitów miejsc i bohaterskich czynów. Dzięki takiej sztuce pamięci zbiorowa tożsamość potrafiła łączyć przeszłość z przyszłością, unieważniając nawet najstraszliwsze skutki teraźniejszej katastrofy. Jednak wody Lete mogą też, jak chciał Dante, uwolnić nas od pamięci i ciężących nam grzechów przeszłości. Weźmy jeden przykład: Iwan Fiodorowicz Paskiewicz nie zapisał się w polskiej pamięci. To może dziwić, jeśli weźmiemy pod uwagę fakt, że odcisnął on wyjątkowo głębokie piętno na życiu Polaków w Królestwie Polskim i na samej Warszawie, i że trwało to przez dwadzieścia pięć lat, a więc ćwierć wieku. To przykład, jak faktycznie potrafi pracować żywa zbiorowa pamięć przeciwko chronosowi. Jeśli Paskiewicz został zapamiętany, to raczej tylko w wyrażeniu „noc paskiewiczowska”, określającym czas jego *de facto* nad Polakami władania: najpierw jako prezesa Rządu Tymczasowego Królestwa Polskiego w 1831 roku, a później – od ustanowienia na terenie Królestwa specjalnych praw stanu wojennego – jako namiestnika, którym był aż do śmierci w 1856 roku. Potężny kawał czasu. Czasami to określenie paskiewiczowskiej nocy rozciąga się wręcz na cały okres aż do końca XIX wieku, w którym Polacy byli przedmiotem szczególnie surowych rządów rosyjskich carów, policyjnego nadzoru, prześladowań, terroru i rusyfikacji.

To ważny czas także i z tego względu, że właśnie wtedy, od upadku powstania listopadowego w 1831 roku, rozpoczęła się historia tego przedziwnego rozdwojenia Polaków, które później powtórzy się w XX wieku za sprawą PRL-u i będzie trwało pięćdziesiąt lat: od końca II wojny światowej do 1989 roku. Chodzi mi o rozdwojenie, kiedy z jednej strony będziemy mieli tę Polskę realnych społecznych i gospodarczych relacji, Polskę dnia codziennego, która w niesprzyjających warunkach, często za cenę lojalizmu, będzie się starała przetrwać, a może nawet na swój sposób jakoś dalej rozwijać, bronić swych podstaw, swojej egzystencji, swojej myśli, czasami zaś buntować się z bronią w rękę wobec niesprawiedliwości i ucisku – Polskę we władaniu *chronosu*. Z drugiej zaś strony będzie Polska jako idea, wielki cel i wielkie pragnienie, by odrodzić się jak Feniks z popiołów, Polska politycznego rozumu lub politycznego szaleństwa, szukająca dla siebie przystani w Paryżu, Londynie, Brukseli, Waszyngtonie a nawet w Istambule – a więc wieczna Polska, Polska władana przez *kairos* [10]. W pewnym sensie te dwie Polski są jakimś nawiązaniem do opisywanych wcześniej okoliczności, w których powstała Świątynia Sybilli w Puławach. Paskiewicz przypomina nam bez wątpienia o tej pierwszej, o tej „grzesznej”, którą chcemy zmyć wodą zaczerpniętą z Lete.

*Pomnik odgrywał zatem też
trochę rolę mauzoleum
rosyjskiej potęgi i chwały, no i
przede wszystkim zwycięstwa
nad Polakami*

Hrabia erywański,
książę warszawski,
namiestnik
Królestwa Polskiego,
pogromca Persów,
ujarzmiciel Kaukazu,
autor śmiałego
manewru wojsk

rosyjskich w 1831, gdy przeprawiwszy się przez Wisłę na północy, zaatakowano Warszawę od zachodu, co zadecydowało o zdobyciu miasta, wreszcie dowódca rosyjskich wojsk interwencyjnych, które stłumiły powstanie węgierskie w 1849 roku. Był Paskiewicz jedną z kluczowych postaci rosyjskiego imperium za panowania Mikołaja I. Przez ćwierć wieku swoich rządów w Polsce zdołał zamienić wiedeński twór, jakim było konstytucyjne Królestwo Polskie, w wojskowe koszary i fortyfikacje – w dobrze zorganizowany, karny obóz wojskowy pod własną stałą komendą, pozostawiając nam w spadku na żywym ciele Warszawy ten monstrualny strup pod postacią Cytadeli

Aleksandrowskiej na Żoliborzu. Jako książę warszawski miał nieustraszony feldmarszałek rosyjskiej armii również wielkie ambicje: chciał zamienić Warszawę w wyróżniające się w imperium centrum wysokiej – tak jak on to rozumiał – kultury i życia towarzyskiego. Wśród fortyfikacji, armat i więzień miała być Warszawa miastem wzorcowym, miała błyszczeć i miała się bawić. Zapewne za sprawą tych wszystkich „zasług” jakiś czas po śmierci Paskiewicza car Aleksander II zapragnął, by postawić księciu w Warszawie wielki, dwunastometrowy pomnik na granitowym cokole w szczególnym, centralnym miejscu miasta – na dziedzińcu Pałacu Namiestnikowskiego przy Krakowskim Przedmieściu. Pomnik miał godnie upamiętniać dokonania feldmarszałka, zdobycie Erywania i szturm warszawskiej Woli. Pomnik odgrywał zatem też trochę rolę mauzoleum rosyjskiej potęgi i chwały, no i przede wszystkim zwycięstwa nad Polakami. Odsłonięto go uroczyście w 1870 roku w obecności samego cara.

Podobno syn Paskiewicza, Teodor, adiutant cara był takiemu upamiętnieniu swojego ojca bardzo przeciwny i zaraz po uroczystościach podał się w proteście do dymisji. Jak widać, nie tylko w elicie rosyjskiej władzy, ale nawet w samej rodzinie feldmarszałka istniały poważnie różnice zdań na temat tego, jak spuściznę rządów Paskiewicza w Królestwie należy ocenić. Dla mieszkańców Warszawy wielki pomnik księcia warszawskiego stał się natomiast na długo – aż do decyzji o budowie wielkiej cerkwi św. Aleksandra Newskiego na placu Saskim – głównym, znienawidzonym symbolem rosyjskiego panowania nad Polakami. Dodatkowo tę niechęć do monumentu podsyciała jeszcze kwestia samego miejsca, w którym zdecydowano się go ustawić[11]. Pamięć zbiorowa jest, jak wiemy, dziwnym wytworem, meandrycznym, często zamieniającym się w podziemny, niewidoczny nurt, a jednocześnie jest niezwykle wrażliwa i nawet na najniższych częstotliwościach odbiera symboliczne znaczenie miejsc, ludzi i zdarzeń, potęguje je i przetwarza w sobie. Tak było również i w tym wypadku. W owym czasie dla każdego świadomego mieszkańca Warszawy wybranie dziedzińca Pałacu Namiestnikowskiego na miejsce upamiętnienia Paskiewicza w oczywisty sposób łączyło się z zupełnie inną, szczególną postacią z polskiej historii, na punkcie której zresztą rosyjski feldmarszałek miał najwyraźniej silną, osobistą obsesję.

Józef Poniatowski, książę Pepe, to historia sama w sobie. Absolutnie szczególna postać w polskiej historii i jednocześnie wielki polski mit w XIX i XX wieku. Nasz cudowny *puer aeternus*, wieczne dziecko, bóg wiecznej młodości, Piotruś Pan, nieokiełznana żywotność, szaleńcza odwaga i wyzywająca niedorobłość, zupełnie szczególne pomieszanie Dionizosa, Erosa, Marsa i Adonisa w jednym. Można tak ciągnąć w nieskończoność, gdyż Pepe był po prostu zjawiskiem niedającym się do końca ująć i opisać. Był przedziwnym stopem XVIII-wiecznego kosmopolityzmu, psoty i rozwiązłości, nieokiełznanego wręcz pragnienia życia bez zobowiązań i ograniczeń, z XIX-wiecznym bohaterstwem, lojalnością, obowiązkiem, miłością Ojczyzny i honorem. Poniatowski był twórcą wielkiego polskiego mitu wiecznej, graniczącej z zatraceniem się urody życia, mitu, którego żywym wizerunkiem stał się pędzący na koniu, malowany, śliczny ułan szukający śmierci w boju. To nie przypadek. Wychowany na cesarskich salonach Wiednia we francuskiej i niemieckiej kulturze, Polakiem został z wyboru, odpowiadając na wezwanie swojego stryja, ostatniego króla Polski, i stając w randze generała majora na czele polskich wojsk we wschodnich województwach Rzeczypospolitej w 1792 roku. Można chyba powiedzieć bez przesady, że obok Kościuszki, który był jego charakterologicznym i społecznym przeciwieństwem, stał się Józef Poniatowski twórcą nowoczesnej polskiej armii oraz korpusu oficerskiego, który będzie walczył u boku księcia po stronie Napoleona, a po śmierci księcia stanie się kośćcem doskonale zorganizowanej armii Królestwa, która podczas powstania listopadowego odegra rolę kluczowego czynnika prawdopodobnego zwycięstwa i faktycznej klęski.

Jest w tym gorzki paradoks, że Rzeczpospolita, posiadając tak znamienitą kulturę rycerską, przez długi czas swojego istnienia nie była w stanie stworzyć własnej, stałej, nowoczesnej armii; wydała ją w końcu na świat już po własnej śmierci. Poniatowski potrafił cały ten rycerski etos, wielką tradycję polskich hetmanów, którą sam uosabiał szaloną odwagą, idąc w pierwszym szeregu do ataku ze słynną wiśniową lulką w zębach, wykorzystać przy tworzeniu nowoczesnej struktury świetnie wyszkolonego wojska: piechoty, jazdy i artylerii, oddziałów inżynierskich i obeznanej z najnowszą teorią strategii walki kadry oficerskiej. A jednocześnie sam nigdy nie chciał do końca spoważnieć, stać się dorosłym, o czym świadczy nie tylko jego tryb życia, którego – między innymi dzięki wspomnieniom Kajetana Koźmiana – znamy

szczegóły, nawet dzisiaj mogące budzić pewne zażenowanie. Poniatowski konsekwentnie także odżegnywał się od zajęcia się faktyczną polityką, która wiązałaby się z jakąś funkcją, rolą, odpowiedzialnością. Bić się i bawić – to były jego największe żywioły do końca życia – życia, które stracił, jak przystało malowanemu, dzielnemu ułanowi, w wielkiej bitwie narodów pod Lipskiem[12].

Jest w tym gorzki paradoks, że Rzeczpospolita, posiadając tak znamienitą kulturę rycerską, przez długi czas swojego istnienia nie była w stanie stworzyć własnej, stałej, nowoczesnej armii; wydała ją w końcu na świat już po własnej śmierci

Śmierć księcia Józefa Poniatowskiego, wiecznie młodego boga wojny, ale też przecież wielkiego hulaki i pozera, miała wszelkie cechy śmierci męczennika. Odcięty od francuskiej armii za sprawą pośpiesznego wysadzenia mostów, wielokrotnie ranny,

wytrwał bohatersko do końca, pomimo rozpaczliwej sytuacji, aż do śmierci. Polacy mieli oczywiście już swych wielkich narodowych bohaterów, postacie historyczne, których duchy puławska Sybilla Izabeli Czartoryskiej przywoływała z przeszłości: Bolesław Chrobry, Kazimierz Wielki, Stefan Żółkiewski, Jan Sobieski. Śmierć Poniatowskiego stała się jednak początkiem nowego mitu – Poniatowski i Kościuszko stają się wśród Polaków w Królestwie Kongresowym postaciami nowego, narodowego mitu czasów porzecznych. Dlatego to właśnie Poniatowskiemu Czartoryska poświęciła kryptę puławskiej Sybilli. Wszystko to układało się w oczywistą całość odnowionej koncepcji narodowej tożsamości w czasach katastrofy.

Jednak w postaci Poniatowskiego było coś jeszcze, co czyniło jego mit zawsze tak fascynującym, żywym i budzącym emocje. Jego życie było wręcz literackim toposem nawrócenia się, historią lekkomyślnego, pogrążonego w długach hulaki i kobieciarza, skandalisty, który przechodzi wewnętrzną przemianę, by stać się wodzem polskiej armii, bohaterem, nieustraszoną patriotą, wreszcie męczennikiem. Narodowy kult Poniatowskiego zaczyna się od momentu jego śmierci i

nie jest wyłącznie wynikiem narodowych emocji, stanowi bowiem także skutek świadomego zamysłu, który rodzi się w kręgu związanym z Czartoryskimi po upadku Księstwa Warszawskiego i powstaniu Królestwa Polskiego pod rosyjskim berłem. Ludzie tacy jak książę Adam Czartoryski, generał Stanisław Mokronowski, Stanisław Staszic czy Ursyn Niemcewicz uważali, że upamiętnienie postaci Poniatowskiego w szczególnie i honorowy sposób, jako narodowego bohatera, oraz inne formy budowania jego mitu jako toposu „dzielnego, szlachetnego, kawalerskiego rycerza”, są ważne dla rodaków w tych niezbyt szczęśliwych okolicznościach, w jakich Polacy znaleźli się w ponapoleońskiej Europie[13].

Sprowadzenie w 1814 zwłok księcia do Warszawy zbiegło się z powrotem do kraju wojsk polskich pod dowództwem Wincentego Krasińskiego, a sam pogrzeb stał się wielkim narodowym wydarzeniem. Nad trumną wystawioną w kościele św. Krzyża generał Michał Sokolnicki oznajmił:

*niechaj grobowiec jego stanie się odtąd szkołą cnót
patriotycznych i rycerskich, a w tej ojczyźnie godnych sobie
niechaj wskazuje synów[14].*

Zorganizowano paradę wojskową i marsze żałobne. Samo wydarzenie stało się także tematem wielu literackich utworów, w których porównywano Poniatowskiego do antycznego Hektora. Mit zaczął żyć w pełni niemal od razu. W 1817 roku wyprawiono kolejne uroczystości pogrzebowe i szczątki księcia spoczęły wśród polskich królów na Wawelu. Działał już wówczas komitet budowy pomnika Poniatowskiego, któremu przewodniczył generał Mokronowski i książę Czartoryski. Zorganizowano zbiórkę narodową i zwrócono się z zamówieniem wykonania pomnika do wziętego w owym czasie, klasycystycznego rzeźbiarza duńskiego Bertela Thorvaldsena. Mieszkający w Rzymie Thorvaldsen pod wpływem rad i sugestii uznał, że polskiego księcia należy przedstawić jako bohatera i triumfatora na koniu, w formule łądząco podobnej do starożytnego pomnika Marka Aureliusza z Wiecznego Miasta. Pierwowzór ten możemy do dzisiaj oglądać na Kapitolu, a jego „polską kopię” w wariacji Thorvaldsena jako pomnik Poniatowskiego – na dziedzińcu pałacu prezydenckiego w Warszawie.

Kiedy wykonany ręką artysty model, jako podstawa dla odlewu, drogą morską dotarł do Polski w 1828 roku i został wystawiony na widok publiczny na placu Krasińskich, pojawiły się żywe dyskusje. Był to moment, kiedy klasycyzm zderzał się już coraz mocniej z nowymi romantycznymi gustami i przekonaniem, a Polacy nie byli w tym względzie żadnym wyjątkiem. Kontrowersje budziła jednak także sama koncepcja; złośliwi twierdzili, że Thorvaldsen postanowił przedstawić polskiego bohatera nie jako heroicznego ułana, ale jeźdźca w prześcieradle. Sprawa miała drugie dno, gdyż co bardziej pamiętliwi w skąpym stroju księcia widzieli aluzję do nieprzystojnego zakładu z hulaszczego okresu jego życia w Warszawie, kiedy to Poniatowski miał podobno założyć się, że nago przejedzie na koniu ulicami miasta – co też podobno uczynił. Nie wiem, czy Thorvaldsen znał w ogóle tę historię, ale niektórzy oglądający model pomnika na placu Krasińskich na pewno mogli mieć z tego powodu mieszane uczucia.

*Bez wątpienia mit księcia
Poniatowskiego [...] bronił
klasycznej formy
upamiętnienia i chciał widzieć
w postaci bohatera przede
wszystkim ucieleśnienie
starożytnych cnót rycerskich*

Klasyczna,
nawiązująca do
tradycji rzymskiej
formuła pomnika
wywołała żywą
debatę, między
innymi na łamach
„Rozmaitości
Warszawskich”;
ścierały się w niej

klasyczne i romantyczne gusta, tradycyjne, arystokratyczne przekonania oraz nowe prądy demokratyczno-narodowe. Bez wątpienia mit księcia Poniatowskiego należał przede wszystkim do tego pierwszego obozu, który bronił klasycznej formy upamiętnienia i chciał widzieć w postaci bohatera przede wszystkim ucieleśnienie starożytnych cnót rycerskich, takich jak honor, odwaga i umiłowanie ojczyzny, tak ważnych dla samoświadomości I Rzeczypospolitej[15]. Co charakterystyczne, w dwóch cieszących się w tamtym czasie dużą popularnością poematach Jędrzeja Świdorskiego, poświęconych księciu Poniatowskiemu – *Galicja oswobodzona i Józefada*, książę jest nie tylko postawiony w jednym rzędzie z takimi historycznymi postaciami jak Chrobry czy Sobieski, lecz także przedstawiany jako współczesny Hektor spod Troi[16].

Wielkim zwolennikiem takiego właśnie klasycznego, odwołującego się do toposów starożytnej historii, upamiętnienia księcia i obrońcą Thorvaldsenowskiej koncepcji pomnika był między innymi Adam Idźkowski (o którym dalej), który w „Rozmaitościach Warszawskich” odnosił się wprost do argumentów krytyków, wytykających tej koncepcji brak nowych idei narodowych i posługiwanie się klasycznym kostiumem. Idźkowski przekonywał, że to przede wszystkim właśnie antyczne wzorce dają przedstawieniu postaci oraz pamięci o niej ponadczasowy i uniwersalny charakter, stanowiąc najodpowiedniejszy sposób „uwiecznienia” i zbudowania trwałego symbolu[17].

Kiedy w 1832 roku odlew pomnika został ukończony, sytuacja w Królestwie za sprawą upadku powstania listopadowego zmieniła się radykalnie. Rozpoczęła się właśnie „paskiewiczowska noc”. Przewodniczący komitetu budowy pomnika książę Adam Czartoryski został ogłoszony zdrajcą i skazany zaocznie na śmierć przez sąd wojskowy. Mikołaj I nie zamierzał także dotrzymać danej wcześniej zgody na ustawienie gotowego już pomnika Poniatowskiego na dziedzińcu Pałacu Namiestnikowskiego: rozebrany na części, zapakowany w skrzynie pomnik został przetransportowany – jakby stał się rosyjskim więźniem – do twierdzy w Modlinie. Niewiele brakowało, by został tam ostatecznie zniszczony. Kiedy bowiem po kilku latach komendant twierdzy postanowił z powrotem zmontować pomnik i zaprezentować go carowi podczas inspekcji twierdzy, miał usłyszeć jego rozkaz: „razbit’ i zapisat’ w łom!”. I kiedy wydawało się, że los pomnika naszego pięknego *puer aeternus*, wiecznego ułana szukającego śmierci, którego duński rzeźbiarz nie bez przyczyny postanowił przedstawić w postaci rzymskiego bohatera, został ostatecznie przesądzony, wtedy właśnie zdarzył się cud. Bo nie kto inny, jak Iwan Fiodorowicz Paskiewicz, hrabia erywański i książę warszawski, surowy i humorzasty namiestnik Królestwa Polskiego, uratował pomnik przed zagładą, uprosiwszy cara Mikołaja, u którego cieszył się wyjątkowymi względami, aby ten mu pomnik podarował.

Chcę wyraźnie zaznaczyć, że nie mógł to być przypadek, i wydaje mi się, że Paskiewicz kierował się całkiem szczególnym stosunkiem do nieżyjącego Poniatowskiego. Paskiewicz był przede wszystkim wojskowym i myślał jak wojskowy, chciał jednak także być w swojej

polskiej misji kimś więcej. Rezydując na Zamku Królewskim, ale większość dnia spędzając w swoim biurze zaraz obok w pałacu Pod Blachą – a więc dokładnie tam, gdzie przez lata Poniatowski mieszkał wraz z hrabiną Henriettą de Vauban, z którą prowadził jeden z największych salonów Warszawy, organizował bale, przedstawienia teatralne i zabawy towarzyskie – musiał Paskiewicz wiele rozmyślać o naszym wiecznie młodym bohaterze i mieć do niego całkiem szczególny stosunek. Myślę nawet, że była to silna mieszanka podziwu i pogardy, jakiegoś lęku przed tym nieokiełznanym żywiołem wiecznie młodej polskości i poczucia brutalnej rosyjskiej wyższości. Paskiewicz doskonale rozumiał, że ma do czynienia z wyjątkowo silnym i groźnym mitem, któremu być może czasami sam trochę ulegał. Ta dwuznaczność musiała też zapewne wynikać stąd, że Paskiewicz już jako generał w wojnie przeciwko Napoleonowi bił się przecież po przeciwnej stronie niż książę Józef, i że w 1813 roku obaj brali udział w śmiertelnych – dla Poniatowskiego dosłownie – zmaganiach na polach wielkiej bitwy narodów pod Lipskiem. Nie sądzę, aby tam mogli się spotkać w walce: Poniatowski na czele polskiego korpusu, jako mianowany właśnie przez Napoleona marszałek Francji, odpierał ataki austriackich i pruskich wojsk koalicji, aż poległ w czasie odwrotu w nurtach Elstery. Świadomość współuczestnictwa w tej bitwie musiała odgrywać ważną rolę w stosunku Paskiewicza do osoby i legendy Poniatowskiego, stosunku szczególnym, który znalazł swój wyraz także w przyjęciu od cara specjalnego tytułu księcia warszawskiego, jakby odwróconego w znaczeniu i w symbolach. Ten tytuł był znakiem zwycięstwa nad spuścizną realnego Księstwa Warszawskiego, którego prawdziwym, choć nie faktycznym władcą i wodzem był za życia Poniatowski.

Uratowanie pomnika i przyjęcie go jako prezentu od cara musiało mieć zatem dla feldmarszałka ogromne znaczenie – jako nie tylko potwierdzenie jego pozycji w imperium, ale i osobisty triumf nad mitem wiecznie młodego ułana w rzymskiej aranżacji. Pomnik nakazał Paskiewicz przetransportować do Homla, do swojej posiadłości, gdzie stał gigantyczny pałac. Umieścił go na skraju tarasu, który wznosił się nad wysoką skarpą; pomnik, pozbawiony cokołu, stał wśród krzewów i kwiatów jako osobisty więzień Paskiewiczów przez następnych osiemdziesiąt lat. Jednak pamięć Polaków była silniejsza i nie pozwalała zapomnieć o wygnańcu w Homlu; homelska niewola wręcz podsyciała jeszcze bardziej mit Poniatowskiego. Pod koniec lat siedemdziesiątych XIX wieku, a więc prawie pół wieku po skazaniu pomnika

Poniatowskiego na wygnanie, Franciszek Paszkowski, malarz, społecznik i polityk z Galicji, pisał o micie Poniatowskiego w sposób, który odwoływał się do dawnych założeń sztuki pamięci oraz wspólnej tożsamości jako skarbnicy narodowej, charakterystycznych dla projektu Sybilli z Puław:

Poniatowskiemu pozostał inny pomnik, jeśli nie trwalszy od spżu, to równie piękny jak dzieło któregośkolwiek znakomitego artysty. Imię Księcia Józefa i wyobrażenie o nim zostało w pamięci narodu przedmiotem uwielbienia i współczucia, że pośród zwalisk pognęzionej ojczyzny stoi ta postać szlachetna, jako jeden ze skarbów narodów, jedno ze światł ostatnich gasnącej sławy narodu[18].

Jak już wspomnieliśmy, Paskiewicz miał większe ambicje, które znacznie wyrastały ponad bezpośredni cel jego rządów, jakim było uczynienie z Królestwa dobrze zorganizowanego wojskowego obozu. Chciał także, aby Królestwo, a przede wszystkim Warszawa, nabrało nowego poloru, aby błyszczało i wyróżniało się, jako szczególnej wartości diament w koronie carów. Dlatego obok fortyfikacji, koszar, tajnej policji, więzień i cenzury wiele uwagi poświęcał również organizowaniu w stolicy życia kulturalnego i mecenatowi sztuk. Chciał, żeby panował żołnierski dryl, ale też, żeby było „normalnie” – nawet lepiej: żeby ludzie chodzili na koncerty i przedstawienia, żeby organizowano huczne bale, by malarze malowali dobre obrazy, a kolekcjonerzy i galerie kupowali je i wystawiali. Krótko mówiąc, żeby był porządek, ale żeby było też ładnie i wzniośle. Dla niektórych artystów w Królestwie, którzy nie chcieli szukać trudnego chleba na emigracji, otwierała się w ten sposób nowa droga kariery na miejscu – często jednak za cenę kolaboracji, sprzedania swojego talentu dla chwały cesarskiej władzy w Polsce.

Jedną z osób, które skorzystały z mecenatu Paskiewicza, był bardzo zdolny malarz Marcin Zaleski, którego zalicza się także do pierwszych w Polsce fotografów, wykonujących dagerotypy. Najwięcej malował widoków miast, przede wszystkim Warszawy, porównywalnych w mistrzostwie z obrazami pędzla Canaletta. Działał również w powołanej przez Paskiewicza Szkole Sztuk Pięknych, która pod czujnym okiem mecenatu namiestnika miała ożywić artystyczne życie miasta i

podnieść jego kulturalną rangę. Paskiewicz musiał cenić Zaleskiego i jego obrazy, chociaż ten przecież swoje pierwsze kroki w sztuce stawiał, malując między innymi niezbyt udaną zresztą kopię znanego obrazu Horacego Verneta z 1816 roku *Śmierć księcia Józefa Poniatowskiego w nurtach Elstery*. Ten fakt Paskiewiczowi chyba nie przeszkadzał, może nawet wręcz przeciwnie, skoro w 1836 zlecił Zaleskiemu namalowanie wyjątkowego obrazu, jakim było przedstawienie Święta Jordanu nad Wisłą pod Zamkiem Królewskim. Paskiewicz przywiązywał do tego prawosławnego święta dużą wagę i w szczególny sposób lubił je celebrować w Warszawie: poprzez uroczysty akt poświęcenia wody w Wiśle i towarzyszące mu salwy artyleryjskie czy parady wojskowe na Krakowskim Przedmieściu. I właśnie ten podniosły moment poświęcenia wody w Wiśle Zaleski przedstawił na swoim obrazie, umieszczając w centralnym miejscu Paskiewicza w generalskim mundurze, z błękitną wstęgą orderu św. Andrzeja, w otoczeniu prawosławnych duchownych, wojskowych, dworzan i grupki mieszkańców miasta. W 1840 roku dostąpił Zaleski wyjątkowego zaszczytu namalowania wspaniałej rezydencji księcia warszawskiego w Homlu – owego gigantycznego pałacu, który Paskiewicz kazał przebudować dla siebie w całkiem nowym, imperialnym stylu. Na obrazie Zaleskiego zobaczymy główną bryłę pałacu z kopułą i charakterystyczną, kilkupiętrową wieżę oraz taras nad skarpą, na którym już wkrótce feldmarszałek każe postawić swojego specjalnego więźnia – pomnik Józefa Poniatowskiego.

Z punktu widzenia polityki namiestnika o wiele ważniejszym artystą okazał się jednak ktoś inny: Adam Idźkowski, architekt, wynalazca, poeta – ten sam, który w latach trzydziestych na łamach „Rozmaitości Warszawskich” z przekonaniem bronił klasycznej formuły pomnika księcia Józefa. Teraz Idźkowski stał się kimś w rodzaju głównego, nadwornego architekta „paskiewiczowskiej nocy”. Był uczniem Antonia Corazziego i tworzył głównie w stylu klasycyzmu, ale najwyraźniej pociągał go również neogotyck, utrzymany w trochę mrocznej, angielskiej atmosferze wczesnych Tudorów. Łącząc umiejętnie te dwa style, Idźkowski przebudował Paskiewiczowi pałac w Homlu we wspaniałą, pełną rozmachu rezydencję, godną księcia warszawskiego. W samej stolicy także podejmował się wielu licznych i kontrowersyjnych projektów. Niektóre z nich, niezrealizowane, takie jak całkowita przebudowa placu Zamkowego z odsłoniętą dzięki wyburzeniu części kamienic neogotycką fasadą katedry św. Jana (tę

akurat zmianę fasady Idźkowski zdołał w rzeczywistości przeprowadzić), czy wzniesienie cesarskiej rezydencji w Łazienkach Królewskich pomiędzy Belwederem i gmachem Obserwatorium, zdradzały nie tyle wielki rozmach ulubionego architekta Paskiewicza, co skłonność do niepokojącej gigantomanii.

*Żeby zatrzeć wszelkie ślady
zniewagi ze strony Polaków z
1831 [...] Paskiewicz nakazał
doszczętnie zniszczyć sale
Sejmu i Senatu na Zamku
Królewskim, pozbawiając nas
na zawsze materialnego
świadcstwa dawnego,
polskiego parlamentaryzmu*

Prawdę mówiąc,
należy podziękować
przeznaczeniu, że
akurat tych wielkich
projektów
Idźkowskiego nigdy
w Warszawie nie
zrealizowano. Były
okropne i, szczerze
mówiąc, kiedy się na
nie patrzy,
przypominają się
trochę owe straszne

pomysły budowniczych powojennej Warszawy w stylu stalinowskiego baroku. Projekty Idźkowskiego nie tylko wiele mówiły o gustach samego architekta, lecz także pozwalały wyrobić sobie zdanie o ambicjach i celach jego potężnego mecenasa – Paskiewicza. Swoje wielkie architektoniczne porządki w Warszawie namiestnik zaczynał między innymi od Zamku Królewskiego, który stał się jego oficjalną siedzibą. Po powstaniu listopadowym, a przede wszystkim po styczniowym posiedzeniu Sejmu Królestwa Polskiego w 1831 na Zamku Królewskim, podczas którego dokonano detronizacja Mikołaja I, żaden Romanow nie chciał już nigdy przekroczyć progu siedziby polskich królów. Odtąd Romanowowie, wizytując Warszawę, zatrzymywali się w pałacu w Łazienkach, podniesionym do rangi oficjalnej rezydencji carów. Żeby zatrzeć wszelkie ślady zniewagi ze strony Polaków z 1831 wobec rodu władców Wszechrusi, Paskiewicz nakazał doszczętnie zniszczyć sale Sejmu i Senatu na Zamku Królewskim, pozbawiając nas na zawsze materialnego świadectwa dawnego, polskiego parlamentaryzmu. Podzielono te sale stropem na dwie kondygnacje i urządzono w nich pomieszczenia biurowe.

Paskiewicz, jak już wspominałem, dużą wagę przywiązywał do obecności prawosławia w Warszawie. Wyrażało się to nie tylko specjalnie celebrowanymi świętami religijnymi, takimi jak Święto Jordanu, lecz także wznoszeniem nowych prawosławnych świątyń. W tej kwestii szczególną rolę odegrał Andrzej Gołoński, uczeń Jakuba Kubickiego, architekt pierwszej, zbudowanej po powstaniu listopadowym za rządów Paskiewicza cerkwi św. Aleksandra Newskiego na terenie Cytadeli Warszawskiej, a następnie adaptacji kościoła pijarów z ul. Długiej, obecnej Katedry Polowej WP, na sobór katedralny św. Trójcy i wreszcie kolejnej cerkwi św. Aleksandra Newskiego powstałej z przebudowanego, zachodniego skrzydła pałacu Na Wodzie w Łazienkach Królewskich – teraz siedzibie carów. Jednak już wykonanie szczególnego zlecenia – można powiedzieć, bardzo osobistego – jakim bez wątpienia dla Paskiewicza była przebudowa kościoła św. Wawrzyńca na Woli w cerkiew Włodzimierskiej Ikony Matki Bożej, namiestnik polecił Idźkowskiemu. Wolski kościół był przecież miejscem zupełnie wyjątkowym, częścią słynnej reduty wolskiej, gdzie zginął generał Józef Sowiński; to tam Paskiewicz przedzierał się z wojskami od zachodu, by zdobyć miasto. Namiestnik chciał teraz uczynić z tego miejsca wieczną pamiątkę, rodzaj mauzoleum, na które składałby się prawosławny cmentarz i przerobiony na cerkiew kościół. Dla większego efektu w ścianach świątyni umieszczono kule armatnie, lufy dział i pamiątkowe tablice sławiące zdobywcę. Najważniejszym osiągnięciem architektonicznym Idźkowskiego był jednak inny warszawski projekt, zrealizowany zresztą dzięki bezpośredniej interwencji namiestnika. Chodzi o przebudowę pałacu saskiego i aranżację całego jego otoczenia, włącznie z ustawieniem przed nową fasadą pałacu, naprzeciwko charakterystycznej pustej kolumnady tak zwanego pomnika „oficerów lojalistów” Corazziego, ciężkiej, czarnej bryły z żelaza w kształcie trzydziestometrowego obelisku, pilnowanej przez osiem spiżowych lwów. W wyniku tej przebudowy piękny XVIII-wieczny pałac elektorów saskich zamienił się w toporną i ponurą klasycystyczną budowlę, której kształt urozmaicała jedynie pozbawiona jakiejkolwiek funkcji i wdzięku, monumentalna koryncka kolumnada. Bezduszny charakter tej nowej budowli, wykorzystywanej głównie jako siedziby biur dowództwa rosyjskiej armii w Królestwie, był szczególnie widoczny w zestawieniu z sąsiadującym pałacem Brühla. Wszystko to, razem, ze stojącym na placu pomnikiem, sprawiało, że dzieło Idźkowskiego uważane było

przez Warszawiaków za kolejny architektoniczny symbol rosyjskiej przemocy nad miastem, coś w rodzaju dzisiejszego Pałacu Kultury i Nauki.

*Pomnik na placu Saskim
oficjalnie upamiętniał
polskich oficerów, sześciu
generałów i jednego
pułkownika, którzy w noc
listopadową 1830 roku mieli
przeciwstawić się buntowi
podchorążych i zginąć z ich
ręki jako ci, którzy pozostali
lojalni wobec prawowitej
władzy rosyjskiego cara*

Warto jednak nad pomnikiem na placu Saskim na chwilę się zatrzymać, gdyż obok wielkiego monumentu Paskiewicza, który stanie później na Krakowskim Przedmieściu, w miejscu przeznaczonym wcześniej dla księcia Poniatowskiego, i który na wygnaniu

przebywał w Homlu jako osobisty więzień księcia warszawskiego, był pomnik lojalistów jednym z najciekawszych przykładów owej wojny na symbole i pomniki, która rozegrała się w Królestwie w czasach „paskiewiczowskiej nocy”. Pomnik na placu Saskim oficjalnie upamiętniał polskich oficerów, sześciu generałów i jednego pułkownika, którzy w noc listopadową 1830 roku mieli przeciwstawić się buntowi podchorążych i zginąć z ich ręki jako ci, którzy pozostali lojalni wobec prawowitej władzy rosyjskiego cara. Z oczywistych powodów pomnik nie mógł wzbudzać sympatii warszawiaków i został od razu uznany za pomnik narodowej hańby, upamiętniający nie bohaterów, ale łajdaków, zwykłych zdrajców. Kiedy później, by zrobić miejsce na placu dla monumentalnego soboru katedralnego św. Aleksandra Newskiego, największej cerkwi w mieście, przeniesiono pomnik na pobliski plac Zielony, gdzie stał trochę ukryty wśród wysokich drzew, często stawał się on przedmiotem nocnych ataków, zwykle przy użyciu farby; raz nawet chciano go uszkodzić przy użyciu materiałów wybuchowych.

Pamięć zbiorowa, jak już mówiłem, jest dziwnym tworem, wrażliwym, często biegnącym krętymi ścieżkami, meandrującym wcale nie spójnym czy logicznym, ale zawsze ciągłym. Tak było i w tym wypadku.

Nazwanie wszystkich sześciu generałów i jednego pułkownika łotrami,

uznanie ich wszystkich *en bloc* za zdrajców i skrupienie całej narodowej nienawiści na nich właśnie, na tym zimnym, żelaznym obelisku w centrum Warszawy, nie do końca, mówiąc delikatnie, było zgodne z prawdą, która jak zwykle była bardziej skomplikowana. Stało się tak za sprawą sprytnej manipulacji jednego człowieka, działającego bez wątpienia na rozkaz Paskiewicza. Dla tej sprawy nie bez znaczenia był również fakt, że wszyscy upamiętnieni lojaliści należeli do tej wyśmienitej, doświadczonej kadry oficerskiej polskiego wojska, stworzonej przez samego księcia Józefa i pod jego dowództwem; niektórzy z nich jako jego adiutanci, podkomendni, bliscy współpracownicy przeszli razem z księciem przez najstraszliwsze pola bitew napoleońskich. Zanim stali się wojskową elitą Królestwa Kongresowego, byli więc „ukochanymi dziećmi” Poniatowskiego, jego oddanymi i lojalnymi uczniami.

Przyjrzyjmy się im po kolei. Generał Ignacy Blumer, uczestnik wojny z Rosją w 1792 roku, walczący potem w insurekcji kościuszkowskiej, oficer legionów Dąbrowskiego, w czasie wojen napoleońskich podpułkownik wojsk Poniatowskiego, u którego boku walczył między innymi pod Raszynem. W jego wypadku zła sława pomnika lojalistów miała jednak swoje uzasadnienie. W czasach Królestwa, kiedy doczekał się awansu na generała, biorąc udział w sądach wojskowych, zdradzał skłonność do surowości, graniczącej czasami ze zwykłym okrucieństwem. Zginął zadźgany bagnietami i trafiony kulą jako lojalny generał cara, broniąc Arsenału przed powstańcami. Generał Maurycy Hauke, hrabia, przeszedł podobną drogę bojową: od wojny 1792 i insurekcji Kościuszki, przez legiony we Włoszech, aż do nadania mu przez Poniatowskiego stopnia generała w 1807 roku. W Królestwie za wierność otrzymał tytułu hrabiego, został też senatorem, a jako członek sądu wojskowego mógł się w pełni wykazać, ścigając między innymi spiskujących wolnomularzy Waleriana Łukasińskiego. Zastrzelony pod Pałacem Namiestnikowskim przez podchorążych, którym stanowczo odmówił przyłączenia się do nich. Sprawa była przykra, gdyż generał został dosłownie poszatowany przez kule podchorążych na oczach żony i dzieci, zginął jednak ewidentnie jako lojalny generał cara.

Z generałem Józefem Nowickim sprawa była już zupełnie inna, gdyż ten był komendant kwatery głównej księcia Józefa, później w Królestwie Polskim wyniesiony do stopnia generała, zginął w listopadową noc przez pomyłkę, wzięty za kogoś innego. Stanisław Florian Potocki,

nienominowany, a prawdziwy, z krwi i kości arystokrata, adiutant księcia Poniatowskiego z powstania kościuszkowskiego, w Królestwie generał i senator, zastrzelony został w chaosie listopadowej nocy w dość niejasnych okolicznościach w okolicy ulicy Senatorskiej. Podobno chciał uspokoić rozgorączkowanych podchorążych, mówiąc do nich: „dzieci, uspokójcie się”, jednak „dzieci” miały nabitą broń, a ojcowski ton generała potraktowały jako obrazę. Tuż przed zgonem miał wyznać, że przecież zawsze był cnotliwym człowiekiem i dobrym Polakiem. Tomasz Jan Siemiątkowski, ułan, w randze pułkownika walczył w bitwie pod Lipskiem, gdzie ranny zdołał się, w przeciwieństwie do Poniatowskiego, wydostać z pułapki i przedrzeć do Francji, skąd wrócił do kraju w korpusie generała Wincentego Krasińskiego, ojca Zygmunta. Zginął faktycznie jako lojalista, na rozkaz księcia Konstantego broniąc pałacu Saskiego przed powstańcami.

Wreszcie ostatni z generałów, Stanisław Trębicki, walczył w wojnach napoleońskich, a w Królestwie Polskim został adiutantem polowym wielkiego księcia Konstantego i nadzorował Szkołę Podchorążych Piechoty Królestwa Polskiego. Napotkany przez spiskowców, podlegających mu podchorążych, pod kościołem św. Krzyża na Krakowskim Przedmieściu, opierał się ich namowom, by objąć dowództwo w powstaniu. Widząc śmierć generała Haukego, miał z rozpaczą wykrzyknąć do „dzieci”: „wy jesteście podli! Wy jesteście mordercy!”, co przypłacił życiem.

*Paskiewicz nie byłby sobą,
gdyby później – po dziesięciu
latach – nie wykorzystał tych
brzemienych w tragiczne
symbole i znaczenia
narodowej tragedii do
wzniesienia „pomnika hańby”*

No i wreszcie
pułkownik Filip
Nereusz Meciszewski
– jego droga
wojskowej kariery
odbiegała od
pozostałych, gdyż do
1810 roku walczył w
armii austriackiej, by
w końcu przejść na

stronę Księstwa Warszawskiego. Cały czas niezdecydowany, czy wybrać karierę akademicką, czy wojskową, w armii podobno ślepo wykonywał wszelkie instrukcje Konstantego. Padł zastrzelony chyba w tej samej strzelaninie co generał Hauke, pod Pałacem Namiestnikowskim. Te straszliwe i chaotyczne wydarzenia listopadowej nocy[19] były jak rzeź

bezradnych „ojców” dokonana przez zdesperowane „dzieci”, oznaczały śmierć zgotowaną starym, uwikłanym i niezdecydowanym przez zdecydowanych i owładniętych wolą czynu młodych, śmierć „synów” i wychowanków naszego wiecznie młodego boga wojny Poniatowskiego zadaną przez tych, którzy w listopadową noc postanowili obwołać się jego prawdziwymi wnukami i spadkobiercami, i którzy w desperacji jednego po drugim zabijali kolejno swych „ojców” za to, że ci nie chcieli stanąć na czele swych „dzieci” [20]. Paskiewicz nie byłby sobą, gdyby później – po dziesięciu latach – nie wykorzystał tych brzemiennych w tragiczne symbole i znaczenia narodowej tragedii do wzniesienia „pomnika hańby”/

Człowiekiem, który poddał mu ten pomysł i sam sporządził listę zabitych „ojców”, owych lojalistów, mieszając ich z przypadkowymi ofiarami, była postać faktycznie mało sympatyczna – generał Józef Rautenstrauch. Sam też należał do „synów” Poniatowskiego. Potomek niemieckich kupców, musiał zawsze się wyróżniać postawą i zdolnościami, skoro był faworytem Stanisława Augusta, potem adiutantem Kościuszki, wreszcie osobistym sekretarzem Józefa Poniatowskiego i towarzyszem jego hucznych zabaw w pałacu Pod Blachą i w Jabłonnie. Towarzyszył Poniatowskiemu do końca, do bitwy pod Lipskiem, gdzie został ranny i wzięty do niewoli. Wydaje się jednak, że Rautenstrauch największą wagę przywiązywał jednak przede wszystkim do kariery i pieniędzy, a służba w wojsku Królestwa Polskiego otwierała w tym względzie zupełnie nowe, niezwykle możliwości. Rautenstrauch pisał się po szczeblach kariery wojskowej i jednocześnie prowadził intratne interesy dla wojska, na których miał zbić imponującą fortunę i jednocześnie zbudować swoją szczególną pozycję. Sumiennie także wraz z generałem Haukiem ścigał i prześladował spiskujących wolnomularzy, z Łukasimskim na czele, śląc do cara długie i szczegółowe raporty. Można powiedzieć, że z owych licznych „synów” Poniatowskiego, naszego wspaniałego polskiego *puer aeternus*, Rautenstrauch bez wątpienia należał do tych, którzy w czasach Królestwa najbardziej i najwidoczniej „dorośli” i gdyby owej nocy listopadowej znalazł się na drodze idących Krakowskim Przedmieściem podchorążych, niewątpliwie zaliczyłby od nich kulę. Tak się jednak nie stało i po latach to właśnie on rzucił pomysł upamiętnienia sześciu generałów i pułkownika pomnikiem na placu Saskim.

Na tym nie kończy się jednak nasza bitwa pomników. Brakuje bowiem przynajmniej jednego jeszcze ważnego elementu. Trzeba mianowicie wspomnieć o pomniku równie ważnym dla okresu „paskiewiczowskiej nocy”, choć już późniejszym i postawionym nie w Warszawie, a w miejscu bardzo szczególnym z punktu widzenia naszej narodowej tradycji i tożsamości. Chodzi o pomnik cara Aleksandra II na Jasnej Górze. Sam pomysł, aby wielki pomnik cara ustawić akurat w najświętszym dla Polaków miejscu, w centralnym dla polskiego, maryjnego katolicyzmu sanktuarium, był na tyle straszliwy i przerażający, że został z naszej pamięci faktycznie prawie całkowicie wymazany, zmyty wodą z rzeki Lete, i mało kto dzisiaj ma jeszcze tego faktu świadomość.

*Słynne stały się jego,
wypowiedziane w Warszawie
w 1856 roku słowa skierowane
do Polaków: „jesteście bliscy
mojemu sercu równie jak
Finlandczycy i inni moi
poddani rosyjscy”, ale zaraz
też dodał: „porzućcie
marzenia”*

Zaraz po
śmiertelnym
zamachu na cara,
przeprowadzonym w
Petersburgu w 1881
roku przez Polaka
Ignacego
Hryniewieckiego,
rzuciono pomysł, by
nieżyjącemu władcy
Rosji wystawić w
Polsce pomnik
wdzięczności, który

by go odpowiednio upamiętniał; padło na Częstochowę. Pomnik w formie postaci o nadnaturalnej wielkości na ośmiometrowym granitowym cokole stanął na błoniach Jasnej Góry, na szczycie prowadzących po skarpie schodów, w 1889 roku. Miał upamiętnić carski dekret uwłaszczeniowy z 1864 roku. Przez następne dekady idących na Jasną Górę pielgrzymów, chcących adorować portret Matki Bożej Królowej Polski, witał gigantyczny, odlany z brązu car „wyzwoliciel”, car „dobroczyńca” – „dobry car”. Niezależnie od tego, jak będziemy oceniać dekret uwłaszczenia chłopów, trzeba powiedzieć, że Aleksander II faktycznie należał do tych, nazwijmy to, „lepszycarów”. Słynne stały się jego, wypowiedziane w Warszawie w 1856 roku słowa skierowane do Polaków: „jesteście bliscy mojemu sercu równie jak Finlandczycy i inni moi poddani rosyjscy”, ale zaraz też dodał:

„porzućcie marzenia” [21]. Najwyraźniej Hryniewiecki żadnych złudzeń co do „dobrego cara” nie żywił i postanowił go zabić. Zupełnie inaczej rzecz się miała z owymi Finami, innymi poddanymi cara, którzy kilka lat później także postawili na centralnym placu Senackim w Helsinkach wielki pomnik Aleksandra II, jako owego „dobrego cara”, „cara wybawiciela”. Tu powodem wystawienia monumentu był cały szereg zwiększających autonomię Finów reform Aleksandra, które pamiętane mu były z sympatią i sprawiły, że pomnik ten stoi do dzisiaj. W okresach represji ze strony następców Aleksandra II Finowie w geście protestu zwykli byli składać kwiaty u stóp pomnika „dobrego cara”. Na taką wspaniałomyślność pomnik na Jasnej Górze nie mógł, rzecz jasna, liczyć ze strony Polaków. Postawienie go u podnóża narodowego sanktuarium było uznawane za świętokradztwo, obrazę, świadomie wymierzony policzek. By uchronić pomnik cara przed tą falą oburzenia, dzień i noc pilnowano go ze stojącej w sąsiedztwie budki strażnika.

Szczególnym momentem dla bitwy pomników stał się rok 1917. To moment długo oczekiwanego obrachunku. Pomnik Aleksandra II na błoniach Jasnej Góry zostaje wtedy rozebrany. Bezpośrednim pretekstem były planowane wtedy uroczystości setnej rocznicy śmierci Kościuszki, do których Polacy przywiązywali ogromną wagę ze względu na znaczenie narodowego mitu wielkiego naczelnika insurekcji. Co jeszcze ważniejsze, na miejscu pomnika Aleksandra II postawiona została figura Matki Bożej Niepokalanej Poczęcia, w białej szacie i w niebieskim płaszczu, stojącej na kuli ziemskiej oplecionej przez węża. W Warszawie w tym samym czasie rozebrano „pomnik hańby” oficerów lojalistów stojący na placu Zielonym, a z dziedzińca Pałacu Namiestnikowskiego zniknął pomnik Iwana Paskiewicza, co można uznać za symboliczny koniec jego panowania nad Warszawą i definitywny koniec „paskiewiczowskiej nocy”. Księżę Józef Poniatowski na swoim wygnaniu w Homlu musiał jeszcze chwilę poczekać – aż do postanowień traktatu ryskiego, dzięki któremu w końcu mógł szczęśliwie powrócić do Warszawy. Stał przed pałacem Saskim Idźkowskiego, zatem nie na pierwotnie przeznaczonym dla siebie miejscu wprawdzie, za to na cokole zbudowanym przy użyciu płyt z podstawy nieistniejącego już pomnika Paskiewicza.

Z tej całej historii XIX-wiecznej bitwy pomników płynie dla nas jeden ważny i optymistyczny wniosek. XIX wiek miał być definitywnym zwycięstwem nowoczesnego, historycznego czasu *chronos*. Jego

panowanie, co pokazywał dobitnie heglizm i wszystkie pochodne mu ideologie, owe świeckie utopie, miał dla pozbawionych swojego własnego państwa Polaków oznaczać wyrok śmierci, zadanej ostatecznie przez dzieje w wymiarze tego nowoczesnego, nieodwołalnego, historycznego, linearnego czasu. Co więcej, ta właśnie nowoczesna filozofia dziejów, historia zsekularyzowana i sprowadzona do roli podglebia postępu, oznaczała także ostateczną zmianę rozumienia przeszłości, jej znaczenia dla dzisiejszych czasów. Klasyczna wizja przeszłości zawsze obecnej w teraźniejszości – czy to pod postacią koncepcji *historia magistra vitae* Cycerona, czy jego idei sztuki pamięci – podobnie jak chrześcijańska eschatologia uświęconego czasu przeszłego, który towarzyszy nam do końca świata pod postacią dziejów zbawienia, zostały przez nowoczesność całkowicie zakwestionowane na rzecz postępu, który uczynił przeszłość historycznie martwą. W ten sposób też zatriumfowała przemoc teraźniejszej faktyczności, oderwanej od jakiegokolwiek łączności z przeszłością, a więc zasada, zgodnie z którą zwycięża silniejszy[22]. Wydawało się więc, że przemoc faktyczności stała się w nowoczesnym świecie XIX wieku nie do pokonania i że będzie swoją żelazną ręką panować na zawsze. A jednak – w polskim wypadku na końcu całej tej historii XIX wieku okazało się, że bitwę pomników ostatecznie wygrał nasz polski *puer aeternus*, wiecznie młody bóg wojny oraz Matka Boża z wężem u stóp.

Marek A. Cichocki

Książkę można zamawiać na stronie Wydawcy

Obejrzyj program *Sądy przesady – rozróby u Kuby* poświęcony książce Marka A. Cichockiego „Początek końca historii. Tradycje polityczne w XIX wieku”

[1] H. Weinrich, *Lethe: The Art and Critique of Forgetting*, New York 2004.

[2] D. Karłowicz, *Teby. Smoleńsk. Warszawa*, Warszawa 2020, s. 119 i n.

[3] G. Pauszer-Klonowska, *Pani na Puławach*, Warszawa 1978, s. 190–191.

[4] K. Koźmian, dz. cyt., t. II, s. 136 i n.

[5] F. Yates, *The Art of Memory*, London, New York 1966.

[6] Cyceron, *O mówcy (De oratore)*, Kęty 2010, ks. II, 351–357.

[7] Św. Augustyn, *Wyznania*, Warszawa 1992, s. 287.

[8] J. Dreścik, *Świątynia pamięci*, „Zarządzanie w kulturze”, nr 6/2005.

[9] M. Eliade, *Sacrum, mit, historia*, Warszawa 1974, s. 61 i n.

[10] Na temat pojęć zob. np. K. Bielawski, *Χρονός (chronos) – καιρός (kairos) – αἰών (aion): czas dla filologa*, w: M. Proszak, A. Szklarska, A. Żymełka (red.), *Boska radość powtórzenia: idea wiecznego powrotu*, Kraków 2014, s. 63–70.

[11] P. Paszkiewicz: *Pod berłem Romanowów. Sztuka rosyjska w Warszawie 1815–1915*, Warszawa 1991, s. 170–171.

[12] Wciąż chyba najlepszym portretem życia księcia Poniatowskiego pozostaje książka Szymona Askenazego, *Książę Józef Poniatowski 1763–1813*, Lwów 1905.

[13] M. Handelsman, *O nasz dzisiejszy stosunek do historii porobiorowej, Pamiętnik V Powszechnego Zjazdu Historyków Polskich w Warszawie*, Lwów 1931, s. 15. O powstawaniu mitu księcia Poniatowskiego w literaturze, m.in. za sprawą utworów Niemcewicza czy Brudzińskiego, zob. M. Janion, M. Żmigrodzka, *Romantyzm i historia*, Warszawa 1978, s. 298 i n.

[14] J. Załęczny, *Tradycje patriotyczne elementem kształtowania zbiorowej świadomości historycznej w II Rzeczypospolitej*, Warszawa 2017, s. 164.

[15] M. Ossowska, *Ethos rycerski i jego odmiany*, Warszawa 2011. Bardzo znamienne, że w tym klasycznym studium rycerskiego mitu postać księcia Poniatowskiego nie pojawia się wcale, chociaż byłaby tu absolutnie na miejscu. Jednak na samym końcu książki Ossowskiej pojawia się w to miejsce symboliczna i jednocześnie tragiczna postać Bolesława Wieniawy-Długoszowskiego. Dla obozu piłsudczyków mit Poniatowskiego odgrywał istotne znaczenie (M. Sadlik, „Póki Polska Polską, imię jego żyć będzie”. Mit księcia Józefa w II Rzeczypospolitej, w: Z. Budrewicz, T. Budrewicz, M. Chrobak (red.), *Książę Józef Poniatowski w kulturze i edukacji*, Kraków 2014). Wieniawa jest tutaj XX-wieczną kontynuacją wzorca Poniatowskiego, a jego samobójcza śmierć w Nowym Jorku w 1942 roku może nam służyć jako znak końca mitu, jeśli zestawimy ją ze śmiercią księcia Poniatowskiego w bitwie pod Lipskiem.

[16] Z. Libera, *Zapomniane poematy o księciu Józefie Poniatowskim*, w: tenże, *Od Sejmu Czteroletniego do Napoleona*, Warszawa 2004, s. 232–238.

[17] M. Getka-Kenig, *Publiczna komemoracja, nowoczesna tożsamość narodowa i kryzys klasycyzmu – przypadek „wskrzeszonyj” Polski na początku XIX wieku*, „RIHA Journal”, 0206, 30 marca 2019, <https://www.riha-journal.org/articles/2019/0207-getka-kenig-EN>

[18] F. Paszkowski, *Książę Józef Poniatowski. Jego życie i działalność*, Kraków 1898, s.135.

[19] M. Mochnacki, *Powstanie narodu polskiego...*, t. II, s. 14–17.

[20] T. Łubieński, *Bić się czy nie bić*, Kraków 1978, rozdz. Generałowie i podchorążowie, s. 18–50.

[21] M. Sobańska-Bondaruk, S.B. Lenard (oprac.), *Wiek XIX w źródłach. Wybór tekstów źródłowych z propozycjami metodycznymi dla nauczycieli historii, studentów i uczniów*, Warszawa 2001, s. 228

[22] R. Koselleck, *Semantyka history*